

## Czynszak Marcin

### Pielgrzymka do źródeł skażonych

Z „*Science Fiction*” nr 13 – marzec 2002

Chłodną ciszę mglistego poranka zakłócił niewyraźny, daleki szum. Walter Thomala spocił się momentalnie mimo dojmującego zimna. Rosjanie. To musieli być Rosjanie. Nerwowym spojrzeniem ogarnął pusty rynek, po którym wiatr gonił samotne kartki, pozostałość po w pośpiechu wywożonych archiwach Wehrmachtu i policji. Ze swojego stanowiska na drugim piętrze ratusza miał dobry widok na niemal całe miasteczko: ogarnęło go dziwne wrażenie, że pozostał w nim zupełnie sam. Chłopak nie zamierzał jednak poddawać się bez walki. Po raz setny spojrzął na leżące w pobliżu trzy granaty i skrzynkę amunicji. Przeładował starego mauzera, rzucił w kąt szalik i ciepłe palto, by nie krępować ruchów. Poprawił grube okulary. Szum, będący najwyraźniej warkotem silników, przybliżył się.

- No, chodźcie - wyszeptał.

Tymczasem na rynek wjechali nie Sowieci, a jedynie dwa stare, wojskowe samochody. Niemieckie samochody. Walter osunął się na ziemię z ciężkim westchnieniem ulgi. Po chwili biegł już na dół po schodach, to znaczy schodził tak szybko, jak pozwalała mu chora noga.

- Stać! Rzuć broń! - powstrzymał go ostry krzyk już na progu ratusza. Nic nie widział: oślepiło go słońce, które wychyliwszy się nagle zza chmur liznęło chciwie zmrożoną warstewkę śniegu, pokrywającą rynkowy bruk. Wiosna w roku 1945 nie śpieszyła się.

- Nie strzelajcie, ja jestem Niemcem, ja... - mówił szybko Walter, rzucając karabin na ziemię. Słońce ponownie skryło się za chmurami, ale niebieski powidok pozwalał mu rozróżnić jedynie kilka ciemnych, nierealnych sylwetek, wyglądających dziwnie, jak duchy. Groteskowe wrażenie potęgowała pękała cisza i papiery, wirujące wokół nich. Dopiero po chwili oczy przyzwyczyły się i Thomala przyjrzał się przybyłym.

- Możesz opuścić ręce - powiedział nieprzyjemnym, skrzekliwym głosem wysoki, chudy mężczyzna w mundurze Sturmbannfuhrera Waffen-SS z insygniami dywizji pancerniej „Totenkopf. Najwyraźniej to on dowodził. Oprócz niego z poobijanego kubelwagena i starej ciężarówki wysiadło jeszcze trzech cywilów, czterech żołnierzy Wehrmachtu i dwóch grenadierów Waffen-SS.

- Herr Sturmbannfuhrer, melduje się szeregowy Walter Thomala, czternasty batalion Volksturmu, przydzielony do pułku... - zaczął energicznie jedyny obrońca miasteczka.

- Jesteś tu sam? - przerwał mu jeden z cywilów, niski grubas w brudnym, czarnym prochowcu, ściskający w ręku małą walizeczkę.

- Tak jest - odrzekł Walter. - Ostatnie jednostki wojskowe wycofały się cztery dni temu. Większość mieszkańców odeszła wraz z nimi. Pozostał tylko nasz batalion, mieliśmy bronić miasteczka przed Sowietami do ostatniej kuli.

- Wasz batalion? - spytał drugi cywil, niepozorny brunet w skórzanej kurtce i wysokich butach. - A gdzie reszta?

- No, był jeszcze listonosz Mennitz i stary Brautigam - opuścił głowę Thomala - ale oni...

- Dezercja - skrzywił się oficer. - Upadek i zepsucie. Niemcy uciekają, zamiast stawić opór podludziom. Oto, dlaczego wciąż jesteśmy potrzebni. Nasza misja jeszcze nie skończona.

Podszedł do Waltera i spojrzął mu z bliska w oczy. Chłopak zbladł, ale wytrzymał.

- Ile masz lat, synu? - spytał niemal łagodnie.

- Osiemnaście, panie Sturmbannfuhrer - odpowiedział Walter zgodnie z prawdą.

- Gdzie twój rodzice?

- Jestem sierotą.

- Dlaczego nie jesteś na froncie?! - W tym pytaniu była już nietłumiona złość.

- Oczy... Poważna wada... I chora noga... - tłumaczył się Thomala, blednąc.

- Noga. Oczy. Poważna wada - rzucał SS-man z kpiną. - Masz szczęście, synu. Mamy dobrego lekarza. Doktor Manteuffel zajmie się tobą - dokończył, wskazując na grubasa z walizeczką. A gdy pojął, że Walter nic nie rozumie, dodał:

- Zabieramy cię. Jeśli umiesz nosić karabin, przydasz się. Wcielam cię do naszej jednostki; od teraz należysz do Einsatzgruppe B, której jesteśmy częścią. Chwilowo bez łączności z dowództwem i Brigadeführerem Naumannem. Rozumiesz?

Walter nie był pewien, czy rozumie. Wiedział coś o Einsatzgruppen, strażnikach tyłów, dzielnych pogromcach sabotażystów i bandytów, tropicielach zdradzieckich Żydów i komisarzy. Na wschodzie, w Rosji. Ale... tutaj? W Kraju Warty? Od tamtych zdarzeń oddzielała ich przecież cała Generalna Gubernia.

- Ja jestem Sturmbannführer Kurt Ehrlich i obecnie dowodzę jednostką - kontynuował oficer. - To jest inspektor Schau z Kripo - wskazał na cywila w wysokich butach. - To doktor Manteuffel - grubas skinał głową - a to inżynier Schreck. - Ostatni z cywilów, siwiejący brodacze o zmęczonej twarzy, nie zaszczylił ich spojrzeniem. - Rozdzielono nas z resztą zgrupowania w czasie potyczki pod Allenstein. Obecnie, według wytycznych otrzymanych przez radio, kierujemy się na zachód, wciąż wykonując nasze zadania. Polecono mi zbierać także żołnierzy z rozbitych oddziałów. - Skinał głową w stronę palących papierosy szeregowców. - Natychmiast, gdy ruszy kontrnatarcie, powrócimy na tereny wschodnie, posuwając się za głównymi siłami naszej armii. Mam pewne informacje, że nastąpi to już niebawem.

Walter był szczęśliwy. Rosła w nim znowu pewność zwycięstwa, wiara w niezwyciężoną armię i Fuhrera. Thomala wierzył. W gruncie rzeczy nigdy nie zwątpił w ostateczną wiktoryę. Dlatego sam jeden pozostał w opuszczonym mieście, ze starym karabinem i trzema granatami. Niemcy ponad wszystko. Znowu uchwycił się tej myśli. Z całej siły. Bo tylko to mu pozostało.

\* \* \*

Gałęzie niskich drzew bez ustanku siekły dach ciężarówki. Dziury i wyboje leśnej drogi sprawiały, że jechali bardzo wolno, a trzęsło i tak niemiłosiernie. Pod plandeką starego wozu siedzieli czterej żołnierze Wehrmachtu i Walter. Za sobą widzieli jedynie wąski pas ścieżki, powoli ginący w mroku, zlewający się w jedno z czarnymi drzewami za sprawą zapadających ciemności i siąpiącego, zimnego deszczu.

- Sytuacja na froncie? - uśmiechnął się kpiąco jeden z żołnierzy, zagadnięty przez Waltera; przedstawił się jako Willi. - Myślisz, że ją znamy? Możliwe, że front dawno nas minął i jest o wiele kilometrów na zachód. Radiostację ma tylko major Ehrlich, a on niewiele mówi.

- A jak mówi, to od rzeczy - mruknął drugi żołnierz, Johann.

- Co? Jak to „od rzeczy”? - zdziwił się szczerze Walter.

- Nieważne - przerwał ostro Willi. - To teraz nasz dowódca. Nasz oddział rozbili Ruscy jakiś miesiąc temu - dodał, patrząc na Thomalę. - Parę dni błąkaliśmy się, próbując trafić na jakąś jednostkę, ale wszędzie byli Sowieci. Potem spotkaliśmy majora Ehrlicha i ich... Teraz przebijamy się na zachód. Dowódca ma instrukcje bezpośrednio z Berlina.

- Ale jakie instrukcje - odezwał się milczący dotąd trzeci żołnierz, Sepp - tego już nie wiemy.

Zapadła cisza, zakłócana tylko warkotem silnika i chrapaniem ostatniego wojaka, Rajmunda. Walter zauważył, że wszyscy czterej nie mogą być od niego dużo starsi; mieli najwyżej po dwadzieścia parę lat. Jednak nie było w nich nic z młodzieńczego zapału, energii, żywotności: wydawali się jakby o wiele starsi. Sepp i Willi byli już zresztą, co dziwne, wyraźnie posiwiali. Ale nie o zwykłą starość tu chodziło.

- Kim oni są - zagadnął Thomala, poprawiając okulary - ci trzej cywile?

- Ten Schau to musiała być szyszka w Kriminalpolizei - odpowiedział mu Johann. - Podobno był w ścisłym kierownictwie Einsatzgruppe. Przewodniczący trybunałów polowych, śledczy, sędzia, takie sprawy.

- Manteuffel był lekarzem w obozie - powiedział Willi. - W obozie pracy dla Żydów - dokończył po chwili, ciszej.

- A Schreck to podobno ważny inżynier - uśmiechnął się Sepp. - Konstruktor. Zna samego Fuhrera.

- No, a... ci dwaj? - Walter wskazał na szoferkę, gdzie siedzieli dwaj żołnierze Waffen-SS.

- To Walończycy - skrzywił się Willi. - Już od dawna... pracowali z majorem - powiedział z pewnym wahaniem. - Robili razem rzeczy, których nie chciałbyś oglądać.

- Tak jak my. My z Einsatzgruppe - szepnął jakby do siebie Johann, ale Walter usłyszał go.

- Jakie rzeczy? - spytał ciekawie. - O czym mówicie? Wszyscy trzej spojrzeli na niego bez cienia uśmiechu.

Przytłoczony Thomala szybko opuścił oczy, nie mogąc znieść ich wzroku. Czuł już, że coś tu jest bardzo, bardzo nie tak, jak sobie wyobrażał.

Rajmund w kącie zaczął jęczeć przez sen.

\* \* \*

Powietrze pachniało śmiercią. Tym dziwnym, nieporównywalnym zapachem, który każdy z nich -oprócz Waltera - zdążył już dobrze poznać. Poranna mgła z niechęcią spełzała w dół po szkielecie stojącego na poboczu czołgu, bezsensownie celującego lufą w szare niebo. Równie opornie odsłaniała rozbity wybuchem wóz i końskiego trupa. Zdawała się skupiać wszystkie siły, by jak najdłużej zasłonić przydrożny rów, nad którym stał Ehrlich ze swoją kompanią.

- To nie tu - powiedział swoim nieprzyjemnym głosem esesman.

- A jednak - syknął Schau, obserwując okolicę rozbieganymi oczkami.

Mgła ustępowała. Najpierw spojrziała na nich z dołu jedna para szklistych oczu, potem kolejna i jeszcze następne.

- Panie Boże - jęknął Thomala i odwrócił się, wstrząsany gwałtownymi wymiotami. Pozostali stali bez ruchu, jedynie Johann opuścił wzrok.

- To właśnie robimy w Einsatzgruppe - powiedział cicho.

Umarli patrzyli na nich szeroko otwartymi oczyma. Mężczyźni, kobiety. Niektórzy w pasiakach, inni nie. Około trzydziścioro. Zapewne tylko dzięki niskiej temperaturze byli wciąż do siebie podobni.

- Miał pan rację - zwrócił się Ehrlich do policjanta. - Zabłądziliśmy. Po tygodniu wróciliśmy w to samo miejsce.

Nagle odwrócił się i spojrział na skulonego Waltera.

- Weź się w garść, chłopcze! - zaskrzeczał z irytacją. - To nawet nie prawdziwi ludzie, to tylko Polacy! Rozumiesz? Bandyci i wichrzyciele. Eliminując ich, usunęliśmy wrzód na zdrowym ciele naszego kraju. Tak było trzeba.

- Ale... Ale dlaczego? - siał nosiem chłopak, nie mogąc opanować drżenia rąk.

- Dlatego, że to było konieczne, konieczne do zwycięstwa - ciągnął Sturbannfuhrer. - Do zwycięstwa! Nie możemy pokazać podludziom, że się boimy. Że uciekamy. Muszą wiedzieć, że my wciąż tu rządymy i będziemy rządzić. Fuhrer niebawem rzuci na wroga Wunderwaffe i szalał przechylać się na naszą stronę. Oni muszą wiedzieć, że nie straciliśmy ducha...

- Wunderwaffe nie istnieje - powiedział milczący dotąd inżynier Schreck. - To mit, który sam pomagałem tworzyć. Być może, jeszcze kilka lat pracy nad bronią V...

- Milcz! - krzyknął Ehrlich, wyciągając z kabury pistolet. - Jak śmiesz... !

- Pracowałem w Łebie i w Peenemünde - ciągnął Schreck, jakby go nie zauważając. - Mieliśmy pewne osiągnięcia. Ale Wunderwaffe nie ma... i już nie będzie. Aczkolwiek...

Major bez słowa podszedł do niego i strzelił inżynierowi w głowę. Schreck padł bez jęku wprost do dołu, na leżące tam ciała. Żołnierze cofnęli się; jedynie Walończycy stali bez ruchu.

- Jak pan mógł! - przerwał ciszę Schau. - Przecież to właśnie jego mieliśmy chronić, doprowadzić do twierdz alpejskich...

- W imieniu Trzeciej Rzeszy - powiedział nienaturalnie spokojnym głosem Ehrlich - skazałem tego zdrajcę na śmierć. On się już nie liczył. Teraz mamy inne, o wiele ważniejsze zadanie, które wyznaczył nam sam Fuhrer.

Żołnierze spojrzeli po sobie porozumiewawczo, a Manteuffel zakrył twarz dłonią. Jedynie Walter nic nie rozumiał.

- Tego znam - odezwał się nagle jeden z Walończyków, wskazując trupa leżącego przy krawędzi dołu. - Idzie za nami od jakichś pięciu dni.

Nikt się nie odezwał. Tak, jakby esesman powiedział coś zwyczajnego.

\* \* \*

Siedzący samotnie przy rozpalonym na polanie ognisku Walter zakasłał cicho, przewracając kartkę czytanej książki. Nie mógł się skupić. Panująca wokół cisza była zbyt głęboka, intensywna, nierzeczywista. Nawet czarne, nagie drzewa zdawały się poddawać podmuchom wiatru, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Thomala bał się. Wbrew sobie; wiedział przecież, że ten lęk jest irracjonalny i niepotrzebny. Ale ten pusty, spalony kraj, który przemierzali, szare, ponure równiny przesiąknięte krwią, nieprzyjemne, ciemne lasy - to wszystko sprawiało, że chłopak stał się niespokojny i rozkojarzony. Co chwilę odwracał się nerwowo w poszukiwaniu twarzy, patrzących na niego z ciemności, tych, które dostrzegał gdzieś kątem oka.

Oczywiście, nigdy nikogo tam nie było. Spał coraz gorzej, budził się wielokrotnie w ciągu nocy, zmarznięty i rozdygotany, przerażony snami, które szybko uciekały w niebyt, a które bał się nawet rozpamiętywać. Tej nocy było podobnie; nie mógł spać, więc próbował czytać książkę. Litery jednak nie były mu posłuszne, rozptyływały się, uciekały, nie chciały układać w słowa; wciąż wyzierały zza nich nocne zmory.

Walter niemal krzyknął, gdy ktoś dotknął jego ramienia.

- Co czytasz? - zapytał, siadając obok niego, Johann, który tej nocy pełnił wartę.

- Hein... Goethego - szybko poprawił się Walter, usiłując opanować drżenie rąk; nie chciał pokazać, jak bardzo się przestraszył.

- Poezje... - skrzywił się żołnierz, najwyraźniej nic nie zauważając. - Czytasz wiersze? Jeszcze czytasz wiersze... ?

- Thomala wzruszył ramionami i zaczął nagle dokładnie czyścić okulary.

- To dobrze - uśmiechnął się nagle Johann - że ktoś jeszcze czyta stare wiersze. Tylko nie wiem, czy ktokolwiek będzie pisał nowe.

Walter nie zrozumiał, o co mu chodzi. Siedzieli parę chwil w milczeniu.

- Johann - zagadnął wreszcie żołnierza - czemu zostawiamy ognisko na noc? Przecież nie wiemy nawet, gdzie jest front. Jeśli Sowieci...

- Jeśli chciałoby się im nas szukać, to zgoda, mieliby jak na patelni - parsknął tamten. - Ale to rozkaz majora Ehrlicha. Albo jego... wspaniałych towarzyszy - dokończył z wyraźnym szyderstwem.

- Dlaczego mówisz o nich w ten sposób? - spytał Walter. - O co ci właściwie chodzi?

- O co? - zachnął się Johann. - Czy nie rozumiesz? Cały czas mówią ci o misji i służbie, tymczasem sami dawno w nią zwątpili. Choćby taki drobiazg: wszyscy członkowie Einsatzgruppen powinni nosić szare, połowe mundury SD. Tymczasem ci z Waffen-SS noszą, jak widzisz, uniformy swoich dawnych formacji, a Schau i Manteuffel są w ogóle w cywilu! Nam nawet nie wspomnieli o zmianie umundurowania. Oni się boją, rozumiesz? Zakładają, że w każdej chwili możemy się dostać do niewoli, a Rosjanie rozstrzelaliby nas bez sądu, gdyby dowiedzieli się, do czego teraz przynależymy. Liczą, że zostaną potraktowani jak żołnierze, a regulaminowe mundury SD zdradziłyby ich od razu. A to ognisko? Może oni wręcz chcieliby, żeby nas znaleźli?

- Johann... - patrzył na niego okrągłymi oczyma Thomala - co ty... Co ty mówisz?

Żołnierz nie odpowiadał, wpatrzony intensywnie w jeden punkt na granicy światła i mroku. Walter podążył za jego wzrokiem i przez moment widział... widział...

- Schreck! - wyszeptał przerażony, upuszczając książkę. - Widziałeś? Tam stał Schreck! Ale przecież... on...

- Zdawało ci się - przerwał mu zdecydowanie Johann. - Schreck nie żyje. To tylko drzewo. Drzewo, rozumiesz? Weź się w garść! Idź się lepiej przespać do ciężarówki. To z niewyspania zwidują ci się jakieś fanaberie.

Walter wstał i poszedł, mechanicznie, powłóczęc nogami i nie oglądając się za siebie. Na porzucony tomik poezji Heinego skoczyła iskra; ogień szybko, niecierpliwie, zachłannie pożerał kolejne kartki. „*Es war mai ein Ritter trübselig undstumm, Mit hohlen, schneeweißen Wangen; Er schwankte und schlenderte schlotternd hefum, In dumpfen Traumen befangen....*”, Johann jeszcze długo patrzył na miejsce, gdzie przed chwilą stał martwy inżynier.

\* \* \*

Zapasy paliwa nie starczyły na długo. Porzucili więc kubelwagena i ciężarówkę, ruszając dalej pieszo, objuczeni ekwipunkiem, przez wypalone lasy, jałowe pola i puste wsie. Jedyne ludzkie trupy, których napotykali po drodze, były trupy w różnych stadiach rozkładu. Walter miał wrażenie, jakby w tym kraju żyły już jedynie wrony, których niezliczone chmary krążyły wszędzie dokoła. Czasami słyszeli odległe strzały i wybuchy, ale było to zawsze zbyt daleko, by się obawiać. Lub mieć nadzieję.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Walter Seppa któregoś wieczoru, takiego samego jak dziesiątki innych. - I dokąd właściwie idziemy?

- Jesteśmy gdzieś w tak zwanej Polsce. Dawno już zabłądziliśmy, więc możemy być równie dobrze na Pomorzu, jak w Generalnej Guberni - odpowiedział mu żołnierz, poprawiając brudny mundur. - A idziemy najwyraźniej na zachód.

- Do twierdz alpejskich? - pytał dalej Thomala. - Gdzie będziemy bronić się do ostatka?

Ale Sepp zbył go tylko drwiącym uśmieszkiem. Być może chciał coś odpowiedzieć, ale ostry krzyk idącego w szpic Willego przerwał im rozmowę:

- Dym! Dym! Tam, w dolinie!

Podbiegli. Istotnie, za lasem, w leżącej przed nimi dolinie, wiła się wyraźna smużka dymu. Walter oblizał się, przypominało mu to tylko o jedzeniu; raczej żywnościowe zmniejszyli już do wielkości niemal symbolicznych.

Dym okazał się pochodzić z niewielkiej, leżącej pod lasem wioski. A raczej jej zgliszcz. Środki ostrożności, które przedsięwzięli, były zbędne: osada wydawała się wymarła. Jednym z niewielu budynków, które uniknęły spalenia, był stary, murowany kościół.

- To była niemiecka wieś - powiedział Manteuffel, wskazując na wypisany gotykiem rozkład nabożeństw, wiszący przy szerokich odrzwiach.

Weszli do środka, zostawiając Rajmunda na straży. Kiedy już ich oczy przyzwyczyły się do półmroku, długo nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Stali i patrzyli w milczeniu.

Ciała leżały wszędzie; już w kruchcie niemal potknęli się o trupa. W ławach i pod ścianami. Pod ołtarzem i za nim. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy. Było ich tak wielu, że mogli stanowić całą ludność tej niewielkiej osady. Niektórzy tylko zginęli od kul: większość wyglądała na uśmierconą jakimś kijem, łomem, bądź saperką. Prawie całą posadzkę kościoła pokrywała ciemna, zaschnięta krew. Z dużego krzyża za ołtarzem strącono figurę Chrystusa; zamiast niego wisiał tam teraz martwy, ukrzyżowany ksiądz. Cisza była absolutna.

Walter patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczyma. Był blady jak ściana.

- Kto... dlaczego... - wyszeptał w końcu, odwracając się do swych towarzyszy, ale oni milczeli.

- Sowiesi - odezwał się po chwili Ehrlich, ruszając przed siebie. - Nieludzkie, okrutne bestie!

- Ludność wioski zapewne schroniła się tu przed nimi - skrzywił się Schau. - Myśleli, że tu będą bezpieczni. Że tamci nie poważą się...

- Pokalali cześć niemieckich kobiet - zasyczał nagle major, z uwagą oglądając ciała. - Nie ujdą karze.

- Dzieci... - zakwilił Manteuffel, pochylając się nad drobnymi zwłokami. - Takie małe dzieci... Bliźnięta...

- Strużka śliny wyciekła mu z otwartych ust, ale był zbyt rozemocjonowany, by to zauważyć. Willi odsunął się z wyraźnym obrzydzeniem.

- Oto widzicie - zagrzmiął Ehrlich, stając na środku kościoła - do czego są zdolne te istoty, mieniające się ludźmi, te wschodnie bestie! Nie muszę wam już tłumaczyć, dlaczego nasza misja...

- Dość! - krzyknął nagle Walter, rzucając karabin na podłogę; jego oczy były pełne łez. - Niech pan przestanie pieprzyć!

Wszyscy spojrzeli na niego, zaskoczeni.

- Cały czas mówi pan o misji - kontynuował Thomala, celując palcem w dowódcę. - O tym, że nas pan poprowadzi! Tymczasem ciągle kryjemy się po lasach, nawet nie próbujemy dotrzeć do jakiegoś naszego zgrupowania, nawet nie próbujemy walczyć! Zemście się... - jęknął, rozglądając się dokoła. - Tacy jak pan uczyli mnie kiedyś, że naszą powinnością jest bronić ojczyzny, walczyć za kraj, a my tymczasem krążymy jak sępy, wybijając pojedynczych bandytów, likwidując uciekinierów z obozu... Czy to jest ta pańska mityczna misja?

- Uspokójcie się, żołnierzu. - Ehrlich zmrużył oczy, przesywając go wzrokiem. - Mam rozkazy z Berlina...

Nagle przerwał mu śmiech Johanna, który obserwował go z kpiącym uśmieszkiem.

- Z Berlina - powiedział, unosząc wysoko brwi. - Co pan powie. To ciekawe, tylko, wie pan, ja w cywilu studiowałem na politechnice i wiem, że pańska radiostacja to złom. Więc nie mógł pan otrzymać żadnych rozkazów od co najmniej miesiąca. A jeśli chodzi o rozkazy, którymi podzielił się pan ze swoimi sługusami - wskazał na dwóch Walończyków - to je znam. Tak, podsłuchałem. Ale nie świadczą najlepiej o pańskim zdrowiu psychicznym.

Wszyscy patrzyli na niego, jedynie major odwrócił się do ołtarza. Johann rozejrzał się i powiedział:

- Herr Sturbannfuhrer prowadzi nas na spotkanie z diabłem, który pomoże wygrać wojnę Trzeciej Rzeszy.

W ciszy, która zapadła, wyraźnie słychać było ciężki oddech zgarbionego nagle majora.

- On oszalał - wyszeptał Walter.

Ehrlich jednym skokiem znalazł się przy Johannie.

- Tak! - wyskrzecztał mu prosto w twarz. - Tak, żołnierzu. Taka jest prawda. Armia jest w rozsypce. SS się wykrwawiło. Wunderwaffe nie istnieje, co sam potwierdził ten idiota Schreck! Jest wiosna. Zanim

nadejdzie jesień, Rosjanie będą w Berlinie! Znacie może jakiś sposób na uratowanie kraju? Narodu? Realny sposób, żołnierzu!

Johann milczał.

- A ja znam. - Oczy esesmana płonęły. - Znam! Słyszysz, głupi gówniarzu. Mówiliście, że okultyści to banda nawiedźców. Że święty zakon SS to bufonada. Tymczasem to my, my z Thule, z naszej najwyższej loży, jako jedyni umiemy jeszcze uratować Rzeszę. Zdobyliśmy bowiem prawdziwą wiedzę. Prawdziwą mądrość, ukrytą przed oczami maluczkich. Takich nic nie pojmujących mózdków, jak twój. Badaliśmy stare księgi, odkrywaliśmy dawną wiedzę. Poznaliśmy, co jest prawdziwą siłą. Znamy przeszłość i przyszłość. Znamy tajemnice templariuszy i różokrzyżowców. Przez te wszystkie lata wielokrotnie kontaktowaliśmy się z wyższymi bytami, z tym, o którym mówisz z taką kpina, także. I on przyrzekł nam swoją pomoc. O ile okażemy się godni.

Johann zbladł, ale wytrzymał spojrzenie szalonego majora. On tymczasem mówił dalej:

- Myślisz, że po co to wszystko? Egzekucje, doły pełne trupów? To, że likwidujemy teraz całe obozy? Że na sądach polowych ginie zapewne więcej żołnierzy niż na polu walki? Że nie mamy żadnej litości? Wszystko po to, aby zaświadczyć, że jesteśmy godni. Godni jego przyjścia! On, którego zwiecie szatanem, obiecał pomoc. O ile zasłużymy, o ile dotrzemy do źródeł, o ile...

- Pan zwariował - przerwał mu ostro żołnierz. - Nie jest już pan dowódcą, a jedynie żalosnym szaleńcem. Jak zapewne wszyscy w SS. Nie mam zamiaru dłużej pana oglądać ani słuchać. Odchodzę.

Zwrócił się w stronę Willego, Seppa i Waltera: - Idziecie ze mną? - Ale odpowiedziała mu cisza. Unikali jego wzroku.

- Stać! - syknął wściekle Ehrlich, gdy Johann ruszył w stronę wyjścia. - Żołnierzu, jesteście wciąż pod moją komendą. Jeśli spróbujecie się oddalić, potraktuję to jak próbę dezercji. A karę za dezercję znacie.

- Odchodzę - powtórzył cicho Johann, nie odwracając się. - Jeśli pański honor na to pozwala, może pan strzelić mi w plecy.

Ruszył wolno, niepewnie. Walter patrzył na Sturbannfuhrera, ale ten nie sięgał po broń. Żołnierz zrobił kolejny krok, potem jeszcze jeden i jeszcze...

Pojedynczy strzał odbił się echem we wnętrzu kościoła. Jakieś czarne ptaki zatrzepotały pod sklepieniem. Johann odwrócił się powoli, podnosząc rękę do szyi, skąd jasnym strumieniem trysnęła krew. Upadł skulony na posadzkę. Wokół jego głowy szybko rosła czerwona kałuża.

Schau niespiesznie opuścił pistolet.

Do środka wbiegł Rajmund, który porzucił swój posterunek, zaalarmowany wystrzałem. Patrzył okrągłymi oczyma, nic nie rozumiejąc.

Widział Sturbannfuhrera Ehrlicha z szerokim uśmiechem na twarzy. Widział inspektora Schaua, jak przypalała sobie papierosa. Doktora Manteuffla, wciąż dotykającego ciał dzieci. Willego i Seppa, odwróconych do ściany. Waltera, zakrywającego twarz dłońmi. Walończyków, pochylonych nisko nad ciałem Johanna.

Mógłby przysiąc, że jeden z nich pił jego świeżą krew.

\* \* \*

Opuszczali wieś w wielkim pośpiechu, odchodząc leśną drogą. Nikt nie wspominał nawet o pogrzebaniu trupów. Przerażony, szokowany Walter niemal biegł, kuśtykając za resztą grupy, oddalając się beładnie, poganianą krótkimi komendami majora. Wokół panowała cisza, nie było żywej duszy, ale wydawało się, że z całych sił uciekają, a pogoń jest tuż, tuż. Rozdygotany Thomala starał się nie rozglądać na boki, zdawało mu się (choć wiedział, że to bez sensu), że zza każdego drzewa patrzy na nich para martwych oczu, a z przydrożnych rowów wyciągają się ku nim sine ręce. Nie oglądał się za siebie: zdawało mu się, że zobaczy goniącego ich Johanna, zalanego jasną krwią.

Gruby Manteuffel nie nadązał; zdyszany, czerwony, ocierając pot z czoła brudną chusteczką, usiłował truchtać za nimi, wołając coraz słabiej, aby nań poczekali. Jednak nikt nawet się nie obejrzał. Wkrótce lekarz został z tyłu, ginąc gdzieś między drzewami.

Zzajani i zmęczeni, zatrzymali się dopiero wieczorem, pośród lasu. Walter zauważył, że Sepp zostawił gdzieś po drodze swój karabin, ale nikt, z Ehrlichem na czele, nie wydawał się tym przejmować. Major bowiem usiadł pod drzewem i zapadł w dziwny letarg, nic nie mówiąc i nie reagując na zaczepki Schaua, który w końcu zrezygnował i zniknął w ciemnościach z papierosem w ręku. Dwaj Walończyki jedli resztki prowiantu, Willi i Rajmund rozmawiali cicho. Klęczący Sepp, skulony i odwrócony tyłem do wszystkich, mruzczał coś pod nosem. Gdy Walter podszedł do niego, zobaczył, że żołnierz przesuwając palce drobne

paciorki różańca, cichym drżącym głosem odmawiając modlitwy. Thomala cofnął się, zdziwiony i zakłopotany: on wierzył zawsze tylko w naród i Fuhrera. Ludzi wiernych starej religii traktował z pobłażliwą pogardą. Ale teraz, teraz nie wiedział już, w co ma wierzyć. Bardzo bolała go głowa. Na tej przekłętej ziemi wszystko wydawało mu się równie realne: bogowie, demony, martwy-żywy Schreck i diabeł Ehrlicha. Chłopak czuł podświadomie, że coś czeka cierpliwie, by schwytać go w swoje śliskie łapska; coś ciemnego, szalonego, lepkiego, czego łagodne, miękkie muśnięcia czuł coraz częściej, coraz wyraźniej. Nie sądził, by były to duchy czy demony. Już raczej zimny i jasny Obłąd.

Tej nocy Rajmund i Willi popełnili samobójstwo, strzelając sobie nawzajem w głowy.

\* \* \*

Manteuffel dyszał ciężko, rozglądając się niespokojnie. Stał bez ruchu, sparaliżowany strachem. Zewsząd otaczały go gęste, niemal dotykalne ciemności. Już dawno zgubił drogę; nie wiedział, gdzie są ludzie Ehrlicha. Wokół siebie widział jakieś iskierki, jakieś błyski... Oczy? Jakby otaczały go dziesiątki, może setki patrzących z ciemności ludzi. Doktor zajączał cicho, podnosząc do góry swoją trzymaną oburącz walizeczkę, próbując się nią zasłonić przed zmorami ciemności. Krzyknął głośno, gdy upiory przybrały nagle materialną postać; w kompletnej ciszy, spomiędzy drzew zaczęli wychodzić ludzie. Było ich bardzo wielu. Dziesiątki ludzi, podobnych jednak bardziej do duchów. Kobiety i mężczyźni. Bez wyjątku bardzo chudzi, wymizerowani, bladzi. Zgarbieni, poruszający się powoli, jakby ostrożnie. Patrzący uważnie, ze skupieniem ale bez ciekawości, swoimi wielkimi oczyma w zniszczonych, suchych twarzach. Młodzi ludzie o twarzach starców. Wszyscy w pasiakach.

Doktor widział ich wielu w życiu. Nigdy nie nazywał ich ludźmi.

Któryś z nich wyjął mu z rąk walizeczkę. Otworzyli ją, wyjmując bez słowa wzierniki, skalpele, noże i strzykawki. Oglądali je z uwagą, popatrując co chwile na Manteuffla, który stał nieruchomo, jęcząc cicho. Obchodzili go ze wszystkich stron, patrząc, tylko patrząc. Wreszcie zatrzymali się i nastała cisza.

Wtedy jedna z kobiet, która mogła mieć dwadzieścia lub sześćdziesiąt lat, stanęła przed nim i spojrzała mu prosto w oczy. Lekarz uciekał wzrokiem, ale ona wpatrywała się długo i uporczywie, aż na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Podniosła drżącą dłoń i wskazując na niego zaczęła krzyczeć, strasznie, ochryple krzyczeć.

Więźniowie ruszyli, powoli, leniwie, wciąż bez słowa, bez jednego dźwięku. Błysnęły wzniesione chudymi rękoma nożyki i skalpele. Jęk Manteuffla szybko zmienił się w zduszony charkot. Doktor zniknął w kłębowisku szczupłych ciał, poruszających się wolno, jak we śnie.

\* \* \*

Poranek był równie mglisty, zimny i nieprzyjazny, jak wszystkie poprzednie. Walter obudził się nagle, wyrwany ze snu przez jakieś dziwaczne odgłosy. Podniósł głowę i zobaczył, że wszyscy jeszcze śpią, poza stojącym nieopodal Schauem, który, odwrócony tyłem, belkotał coś, unosząc ręce do twarzy. Walter podniósł się z ziemi, zmarznięty, bowiem spał owinięty jedynie płaszczem. Podeszedł do policjanta, usiłując rozprostować zdrtwiiałe nogi. Stanął za inspektorem, który powtarzał wciąż niewyraźnie coś jakby: „są tutaj, są tutaj, są tutaj”. Thomala dotknął jego ramienia.

Schau odwrócił się. Zamiast oczu w jego twarzy ziały dwie krwawe dziury.

Potworny wrzask Waltera wyrwał ze snu resztę grupy. Chłopak cofnął się, potknął i upadł; usiłował odejść, odpełznąć jak najdalej, jak najszybciej od upiornego obrazu zalanego krwią policjanta. Wstał wreszcie i pobiegł przed siebie, byle dalej.

Pierwsza kula okręciła go dokoła, zatrzymała. Kolejne powaliły na ziemię, w tłuste błoto. Z trudem uniół głowę. Patrzył, niewiele widząc - okulary upadły gdzieś daleko. Patrzył, nic nie rozumiejąc.

Z lasu wybiegali Sowieci.

Powietrze rozdarły suche trzaski karabinów i terkot pistoletów maszynowych. Walter ledwie dojrzał przebiegającą opodal śmierć, śmierć w wielu osobach, odzianą w gruby szynel i futrzaną czapkę z czerwoną gwiazdą. Rosjanie biegli w stronę polany, tam, gdzie Ehrlich i jego ludzie usiłowali stawić opór. Thomala powoli tracił przytomność, ale wydawało mu się, że słyszy Seppa, który głośno wołał:

- Panie, Ty jesteś dla mnie tarczą, Tyś chwałą moją i Ty mi głowę podnosisz...

Walończycy z wściekłym rykiem siekli dokoła, na oślep, ze swoich MP40, powalając także bezokiego Schaua, który stał z wyrazem cierpienia na twarzy, unosząc głowę ku niebu.

- Wołam swym głosem do Pana, On odpowiada ze świętej swojej góry...

Ehrlich krzyczał coś o posłannictwie i misji, strzelając bezzadnie na prawo i lewo; zdania niemieckie przeplatał jakimś dziwnym językiem, jakby łaciną czy greką; gestykulował i śmiał się, wskazując na zbliżających się Sowietów. Wydawało się, że ich zaklina lub przeklina.

- Kładę się, zasypiam i znowu się budzę, bo Pan mnie podtrzymuje...

Pistolety Walończyków zamilkły, trzaskając sucho zamkami. Skoczyli obaj na napastników, nie zwracając uwagi na kule, które kasały ich nieustannie; padali i podnosili się z coraz większym trudem, krzycząc i bełkocząc; jeden z nich dopadł rosyjskiego żołnierza i skrzył mu kark gołymi rękami.

- Wcale się nie lękam tysięcy ludu, choć przeciw mnie dokoła się ustawiają...

Otoczyli ich, gestykulującego, egzorcyzmującego Ehrlicha, dwóch zakrwawionych, półleżących już Walończyków i klęczącego, modlącego się głośno Seppa. Jeden z Sowietów odbezpieczył granat.

- Powstań, o Panie! Ocal mnie, mój Boże! Bo uderzyłeś... Walter płakał cicho, ale nikt nie mógł go usłyszeć. Wreszcie zachłysnął się krwią i stracił przytomność.

\* \* \*

Teraz szli już szybko, rażno, bez zbędnych przestojów. Głód nie dokuczał, nawet wciąż ponury krajobraz nie robił już tak przygnębiającego wrażenia. Maszerowali równo, całą grupą, popędzani od czasu do czasu gromkimi komendami Sturmbannfuhrera. Thomala wciąż usiłował sobie przypomnieć dokładny przebieg potyczki z Sowietami, ale wydawało mu się, że obrazy w jego pamięci szczelnie przykrywa jakby biała, półprzeźroczysta opona. Nieważne, jak bardzo się starał - widział tylko końcówce, też niewyraźne sceny: leżące na ziemi ciała, wiele rozrzuconych ciał w kałużach krwi; nie wiedział, czyje to były trupy, mógł tylko przypuszczać, że to zabici Rosjanie. I poruszające się wokół, nierzeczywiste sylwetki w długich płaszczach. Spojrzał na siebie i swych towarzyszy: choć teraz wyglądali znacznie lepiej niż przed walką (przedtem bardziej już przypominali bandę oberwańców, teraz mieli ładne, nowe mundury), to żaden z nich nie miał takiego grubego, zielonego płaszcza jak tamci, stojący nad ciałami. Zastanawiało go to, ale zarzucił te rozważania jako jałowe i nieistotne. Ważne było tylko to, że szli. Cel był już blisko, jak mówił major. Czy celem było duże, ruszające właśnie do kontrnatarcia zgrupowanie armii niemieckiej, czy twierdze alpejskie, czy może jeszcze coś innego - to było już nieistotne. Walter cieszył się, bo widział na twarzach towarzyszy pewność i zdecydowanie. Byli już niemal na miejscu.

Gdzieś głęboko, na granicy świadomości kołatały się natrętne pytania, niedopowiedziane wątpliwości, robaki niepewności i zwątpienia. Kto stał nad zmasakrowanymi ciałami Rosjan, gdy odchodzili stamtąd w karnym szyku? Czemu ich mundury są teraz tak czyste, jak nowe? I co się stało z Seppem? Dlaczego nie ma go z nimi? Walter odganiał te pytania jak natrętne muchy; nie mógł i nie chciał się nad nimi zastanawiać. To nie miało sensu. Zwłaszcza teraz, gdy zmierzali prosto do celu, a drzewa szumiały nad nimi uroczyście, wygrywając im pieśń zwycięstwa.

Wkrótce dołączył do nich doktor Manteuffel, uśmiechnięty i rumiany, wymachujący swoją walizeczką. Następnie Rajmund i Willi, maszerujący równo, idealnie, jak prawdziwi niemieccy żołnierze. Grupa powiększała się, a Walter cieszył się, naprawdę się cieszył, że znowu są razem. Inspektor Schau mrugnął do niego, uśmiechając się szeroko. Gdy doszedł jeszcze Johann, a niedługo po nim inżynier Schreck, byli już niemal w komplecie. Brakowało Seppa. Tylko Seppa.

Maszerowali teraz dniem i nocą. Nie robili przerw ani postojów, nie było zresztą potrzeby - ani zmęczenie, ani głód nie doskwierały im specjalnie. Mijali kolejne lasy, kolejne drogi i kolejne pola bitew. Tam zabici żołnierze często pozdrawiali ich, machając ręką lub krzycząc bezgłośnie martwymi ustami. Ale oni nie odpowiadali, podążając karnym szykiem w swoją stronę. Wszechobecna mgła rozstępowała się przed nimi, tworząc biały korytarz, wskazując drogę. Thomala próbował zaintonować „Horst Wessel Lied”, ale szybko zamilkł, bo jego głos brzmiał dziwnie, był cichy i przytłumiony jak pod wodą.

Czasem Walter z całej siły tłumił w sobie straszny, zwierzęcy strach, przyczajony jak bestia gdzieś za jasną, półprzeźroczystą oponą, czasem drażący cierpliwie, a czasem desperacko usiłujący wyrwać się na powierzchnię, burząc jasny obraz świata. Nie dopuszczał go do świadomości, nie próbował nawet tłumaczyć go lub walczyć. Szedł po prostu przed siebie, w radosnym transie, do celu, gdzie oczekiwano ich wszystkich.

Tego, że nie utyka już na swoją chorą nogę i że zgubił gdzieś okulary, nawet nie zauważył.

\* \* \*



Dostrzegli go już z daleka. Stał samotnie na niewielkim, łysym wzgórzu, dokąd zaprowadziła ich leśna droga. Wysoki, smukły człowiek w nieokreślonym wieku, o klasycznych, nordyckich rysach, stalowo błękitnych oczach i błędzącym po twarzy uśmiechu. Miał na sobie nieskazitelny, czarny mundur allgemeine-SS (wzór, którego od dawna już się nie używało) z widocznymi dystynkcjami Obergruppenfuhrera i runem Odał na rękawie. Patrząc na nich z góry, opromieniony krwawo zachodzącym słońcem (mgły nagle gdzieś zniknęły), bawił się jakby od niechcenia wiszącym na łańcuszku z trupich czaszek ozdobnym sztyletem; widzieli też na jego palcu srebrny pierścień - znak elity SS.

Zatrzymali się kilka metrów przed nim, niepewni i zaskoczeni. Ale głos Ehrlicha zabrzmiał niespodziewanie donośnie, jasno i uroczyście:

- Heil Hitler! Herr Obergruppenfuhrer, Sturmabfuhrer Kurt Ehrlich, ostatni przydział Einsatzgruppe B, melduje swój oddział...

- Wystarczy - przerwał sucho odziany na czarno esesman. Patrzyli na niego bez słowa.

- Znam pana, Ehrlich, jak również resztę pańskiej kompanii - czerwone słońce było teraz dokładnie za jego plecami - i muszę powiedzieć, że bardzo się nam przysłużyliście. Bardzo.

- Byłem pewien, że sztab doceni... - zaczął major, jakby z ulgą wyrzucając z siebie słowa.

- Powiedziałem: wystarczy. - Głos obcego był głęboki, aksamitny, nie znoszący sprzeciwu. - Wasz sztab jest tu także, zapewne wkrótce się spotkacie. Ale najpierw... pozwolicie, że wam się przyjrzę.

Zszedł do nich miękkim, szybkim krokiem; zatrzymywał się po kolei przed każdym, oglądając uważnie, dokładnie, jakby sycąc się tym widokiem. Wydawał się być wyższy, patrzeć z góry na każdego z nich, ale tylko odrobinę.

- Sturmabfuhrer Kurt Ehrlich - wysyczał cicho, patrząc w twarz majorowi. - Chłuba dywizji „Totenkopf”. A raczej jej niebojowej, obozowej części. Nigdy nie był na froncie, ale zabił więcej ludzi niż niejedna kompania. Zastępca dowódcy obozu w Bergen-Belsen. Przesunięty do Einsatzgruppe, bo uznano, że marnuje się, wykańczając tylko bezbronných więźniów. Dobry tropiciel Żydów. Wzorowy wykonawca wyroków, wzorowy kat cywilów, wzorowy morderca dzieci i kobiet! Idealny dowódca dla Einsatzgruppe. Wielki Mag i Rycerz Siódmego Kręgu Łoży Thule. Znacznik wiedzy tajemnej. Chylę przed panem czoła, majorze.

Ehrlich zbłądł jak ściana, ale nie śmiał się odezwać; tymczasem generał spoglądał już w twarz Manteuffla.

- Doktor Manteuffel - zaczął niemal łagodnie. - Lekarz, który nigdy nie ukończyłby studiów, gdyby nie pomoc kolegów z NSDAP. Wielki odkrywca tajemnic ludzkiego organizmu. Praca w obozach dała mu nieograniczone możliwości. Autor wielu rewolucyjnych eksperymentów: komory ciśnieniowe, niskie temperatury... Niestrudzony badacz wytrzymałości młodych istot rasy podludzkiej. Wiele, bardzo wiele prób z dziećmi. A także z kobietami, och, doktorze, czyżbym zdradzał jakiś sekret? Proszę się nie wstydzić, przecież tak bardzo przypominały prawdziwe Niemki, to żaden dyshonor, w końcu jest pan mężczyzną... Pan również oddał nam nieocenione usługi. Gratuluję.

Lekarz jęczał cichutko, gdy esesman zwrócił się do policjanta.

- Inspektor Schau z Kriminalpolizei - tchnął mu do ucha, aż tamten się wzdrygnął. - Tak dobrze zapowiadał się jako tropiciel złodziei i rzeźmieszków. Ale wolał - i słusznie! - pracować dla Sprawy. Ile przemyślnie ukrytych rodzin żydowskich wytropił w Warszawie! Jak wspaniałym był śledczym, jego przesłuchania były wręcz porywające! Ile wykazywał inwencji przy wydobywaniu potrzebnych informacji! No, co prawda czasem torturował jedynie dla czystej przyjemności, ale czy nie należało mu się tych parę chwil za tak wielki i godny trud? Idealny przewodniczący sądów polowych. Twardy, sprawiedliwy, bezwzględny. Znający tylko jeden rodzaj wyroku i nie wahający się samodzielnie go wykonać. Dziękuję, inspektorze.

Schau odwrócił się z pytaniem w oczach, ale Obergruppenfuhrer stał już przed Schreckiem.

- Inżynierze - powiedział z niekłamany szacunkiem - podziwiam pana. Doprawdy, niewielu Żydom udało się zejść tak wysoko w Trzeciej Rzeszy. Pański oportunizm i umiejętność kamuflażu zasługują na order. Kto by pomyślał, że stanie się pan tak gorliwym nazistą? Wprawdzie ciche wymordowanie całej bliższej i dalszej rodziny oddalało możliwość zdemaskowania, ale panu to nie wystarczało, stał się pan przyjacielem Fuhrera, konstruktorem wspaniałej broni... Zaszedł pan na sam szczyt. Pańskie bomby i rakiety przysporzyły nam wiele radości, siejąc śmierć nawet w Anglii. Szkoda, że nie miał pan więcej czasu, z pewnością mielibyśmy z pana jeszcze więcej pociechy. Tak czy inaczej, wyrazy uznania, inżynierze Schreck, czy raczej Rosegriin.

Schreck ukrył twarz w dłoniach. Esesman objął tymczasem dwóch Walończyków.

- I kto by pomyślał - roześmiał się głośno - że z ochotniczej formacji można zostać usuniętym! Tak, panowie, nawet jak na standardy 28. Dywizji Grenadierów Pancernych byliście trochę zbyt okrutni. Trochę zbyt bezlitośni. Jaka to ironia, że wyrzucono was stamtąd za obniżanie morale! Podczas gdy to wy właśnie pokazywaliście, jak powinien zachowywać się prawdziwy esesman! Podludziom trzeba przecież czasem uświadomić, dlaczego powinni się nas bać. Przenieśli was do Einsatzgruppe, a tam sprawdziliście się nawet lepiej. Widocznie tam było wasze miejsce. Nie, wcale nie byliście nieczuli czy zimni jak maszyny. Umieście dużo wymyślić. Podobały mi się zawsze wasze pomysły, zwłaszcza to rozrywanie złapanych partyzantów z pomocą ciężarówek. Wyborne! Nie znaliście granic. Za to was cenię. I dlatego zawsze byłem z wami. Dlatego zawdzięczacie mi równie wiele, co ja wam.

Spojrzeli po sobie, osłupiali. A obcy generał stał przed zbitymi w kupkę Johannem, Willim, Rajmundem i Walterem.

- Słabo wypadacie na tym tle - parsknął z niechęcią. - A mogliście się tyle nauczyć i zrobić tak wiele... dla nas. Ale i tak wam dziękuję. Za to, że nigdy nie kwestionowaliście rozkazów. Że nie wahaliście się, gdy trzeba było strzelić wrogowi w tył głowy. Nieważne czy miał lat siedem czy siedemdziesiąt. Że nie baliście się podkładać ognia pod dom pełen ludzi. Że zawsze słuchaliście dowódców, nie zadając pytań. Karnie stawaliście w plutonach egzekucyjnych. Nie dawaliście pardonu. Dziękuję i wam. Przydadcie się.

- Ale jak to... - Walter zdołał z siebie wydusić kilka słów, choć lepkie, oślizłe macki dusiły jego płuca, serce i duszę, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza; bestia, bestia wyrwała się na powierzchnię... - Dlaczego... Dlaczego my... Dlaczego ja...

- Ty? - odwrócił się esesman z wyraźnym niesmakiem. - Ty też się przydasz. To prawda, nie dorastasz im do pięt, ale nastał taki czas, że witam cię z radością. A dlaczego? No, cóż. Być może rzeczywiście nie bardzo tu pasujesz, ale sam rozumiesz, w takim tłumie, w takiej masie muszą zdarzać się pomyłki. Najwyraźniej naprawdę nikt nie jest nieomylny, zupełnie nikt, wszystko na to wskazuje... - Tu uśmiechnął się obrzydliwie, patrząc gdzieś daleko.

- W jakim tłumie? - spytał cicho Walter; zauważył, że słońce już od długiego czasu nie obniża się, wisząc w tym samym miejscu i oblewając esesmana krwawą poświatą. - O czym pan mówi? I kim pan w ogóle jest?

- Jak to, kim? - Słowa Obergruppenfuhrera zabrzmiały nienaturalnie, głucho. - Dobrze wiecie, kim jestem, żałośni głupcy. Szukaliście mnie! Szliście do mnie! To ja. Oto jestem. Odnaleźliście źródło, któregoście tak usilnie szukali. Tu wasza droga się kończy.

W ciszy, jaka zapadła, usłyszeli jakby odległy dźwięk fletu.

- Panie - zaczął wolno Ehrlich, oblizując wargi, unosząc drżące dłonie; jego oczy błyszczały. - Zatem raczysz dopomóc nam, tak, jak...

- Obiecywałem? - zaśmiał się demoniczny esesman. - Nie bądź śmieszny, człowieku. Nie zwykłem dotrzymywać obietnic. Tym bardziej tych, które złożyło za mnie jakieś odurzone medium. O, nie. Zresztą, to i tak nie ma znaczenia. W waszym świecie upłynęło zapewne tak wiele czasu, że nie ma już komu pomagać. Tak sądzę. A może jest odwrotnie.

- Jak to - wyszeptał Walter, czując bestię pełznącą wzdłuż kręgosłupa. - Jak to, w naszym świecie?

- Zginęliście wtedy, w lesie, zabito was wszystkich - tłumaczył cierpliwie Diabeł, a jego głos zdawał się sięgać samego dna złkniętej duszy Thomali. - Od tego czasu wędrowaliście pomiędzy światami i poprzez światy, przebywając niepojęte dla was odległości w czasie i przestrzeni. Ale nie niecierpliwicie się, oto jesteście u celu. U tego celu, do którego zdążyliście. Do którego drogę wam wskazywałem. Chodźcie za mną. Nie przyzwałem was przecież do siebie bez powodu. Zasłużyliście się na tyle, że mogliście ze mną porozmawiać; teraz pójdziecie, aby ostatni raz stanąć po mojej stronie. Chodźcie. Już czas.

Ruszył pod górę, wprost w krwawe słońce, przyzywając ich ruchem dłoni. Ruszyli za nim jak bezwolne kukły, nie patrząc na siebie nawzajem. Walter jako ostatni stanął na szczycie pagórka, który nagle stał się wielką górą. Pod nimi rozpościerała się potężna, wydawałoby się, bezkresna równina. Na niej zgromadziły się tłumy.

Byli tam rzymscy wojownicy i średniowieczni rycerze. Byli barbarzyńcy z długimi włóczniami i żołnierze w mundurach, jakich nigdy nie widzieli, o twarzach zakrytych dziwnymi hełmami. Byli greccy hoplici i japońscy samuraje. Byli brodaci wikingowie i żołnierze napoleońscy. Było wreszcie wielu esesmanów w charakterystycznych uniformach. Przewodzili im liczni dowódcy, książęta, królowie i marszałkowie. Ale twarze ich wszystkich, twarze całej tej rzeszy, były podobne. Skrzywione, opętane, szalone, bluźniercze. Złe. Pomiędzy ludźmi przechadzały się wielkie, ryczące, niesamowite bestie, przypominające nieco jakąś upiorną odmianę słonia. Gdziekolwiek przemykały demony o skrzydłach

czarniejszych od mundurów Schutzstaffel. Deliryczne, wibrujące dźwięki piszczałek i fletów kontrastowały z ponurym, głuchym rytmem potężnych bębnow i werbli, z potępieńczym wyciem potworów i ludzi.

A gdzieś, na horyzoncie, majaczyły jasne zastępy Dobra.

- Co to za miejsce? - spytał Walter Thomala, choć domyślał się odpowiedzi.

- Po hebrajsku nazywa się Har-Magedon - usłyszał szept Szatana, ale nie było go już z nimi.

Powoli zeszedli w dolinę.

**Marcin Czyszczak**

*Wykorzystano fragmenty Psalmu 3 ("Modlitwa Prześladowanego ") według Biblii Tysiąclecia, a także fragment wiersza Heinricha Heine "Das Lied vom blöden Ritter".*